



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYTORA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebnera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

Udział żon w winach mężów

przez

Wandę Podgórką.

I.

Kobieta, od chwili, gdy święte słowa przysięgi ślubnej zwiążą ją na życie całe z ukochanym, to już wierna towarzysza doli lub niedoli męża; dzieli ona z nim, nie tylko szczęście, radości i smutki, ale nawet hańba i niesława mężowska spada na nią ponurym cieniem, tym samym mrokiem otaczając całą jej rodzinę: dzieci ojca-przestępcy. Wprawdzie prawo nie pociąga do odpowiedzialności żony, lecz sąd opinii publicznej bywa w tym względzie surowszym, tak wprost, jak gdyby ją uważano za współniczkę winy. Mam tu głównie na myśli takie występki, jak przeniewierstwo urzędników, kassyerów, nadużycie zaufania, rozmyślne roztrwonienie powierzonych sobie funduszy, zadłużanie się nad możność oddania długów swoich i idące zatem bankructwo, dalej—niesumienne wykonywanie przedsiębiorstwa, a nakoniec ciężką winę upadkania się przez nędzne służalstwo wobec możniejszych, wyżej położonych; nakoniec zle już najcięższe, plamę największą—zatrącenie w sobie charakteru uczciwego obywatela, społeczności swej członka.

Wogóle rzecz biorąc, występne wyciąganie ręki po cudze mienie, będące strasznym złem, bo obniżającym całą wartość moralną społeczeństwa, zbrodnią, wyrządzającą nieobliczone krzywdy innym, jest jeszcze u nas zjawiskiem dość rzadkiem, faktem wyjątkowym i od-

osobnym. Dawna, tradycyjna uczciwość narodu jeszcze wywiera swój wpływ potężny i chroni od przestępstw, które w sąsiednich społeczeństwach są niemal na porządku dziennym. Lecz inne zło, przez surowego moralistę nazwane pokrewnem temu, pełni się u nas, niby zielsko szkodziwe, i jak to zielsko jest trudnem do wytepienia z ogrodów naszych społecznych. Jest niem bezmyślne zaciąganie długów, których spłacić potem nie możemy, a nawet często nie widzimy wcale przed sobą źródła, z którego czerpiąc, spłacić byśmy je mogli. Pożyczamy przecież, gdy nas potrzeba przycisnąć, pożyczamy, póki ludzie wierzą w naszą uczciwość, a których my przez nędną słabość charakteru zupełnie tak oszukujemy, tak okradamy, jak gdybyśmy im z kieszeni pieniądze wyciągnęli, a nawet w sposób gorszy jeszcze, bo jest tu przeniewierstwo, jest nadużycie dobrej wiary ludzkiej, jest podstęp, przez który pozbawiamy ludzi ich mienia, nie narażając się na odpowiedzialność i wstyd, dotykający prostych złodziei.

Spółczeństwo nasze dziwnie pobłażliwie zapatrzuje się na takie przewinienia, a ci, którzy się ich dopuszczają, mają pod tym względem tak luźne sumienie, tak błędne pojęcie o złem i dobrem, że zatracają prawie zupełnie świadomość swej winy i gdy potem niesumiennych dłużników sądy do odpowiedzialności pociągają, gdy ognisko rodzinne takich ludzi zostaje zburzone, otacza ich najcięższa litość, i zowią ich nieszczęśliwymi, gdy przeciwnie nieszczęśliwymi są wierzyciele, którzy na nich tracą. Choćby nawet odzyskali oni to, co pożyczili, to żałować ich należy, że przeszli przez przykrość niemiłego procesu, przez wrazenia smutne, jak gdyby wydzierania komuś jego ostatnich zasobów.

Otóż, patrząc na to zło, takrozwiemożliwione i popilnowani ramionami obejmujące nasze społeczeństwo, pomimo woli stawiamy sobie pytanie: czy sąd opinii publicznej słusznie czyni żony jakoby

współniczkami win mężowskich, czy słusznie może spadać na żonę część niesławy za nierzetelność, za bankructwo mężów?

Odpowiedź tego, kto by stosunki te badał, byłaby prawie zawsze ciężkiem oskarżeniem kobiety o współnictwo, o podniecanie do złego. Najczęściej owi ludzie nierzetelni, owi niesumienni dłużnicy, są najlepszymi mężami i właśnie przez zło zrozumianą miłość rodziny, przez niedość podniosłe pojmowanie obowiązków męża i ojca—grzeszą. Dobrzy ci mężowie nie mogą mieć nie skrytego przed żonami, a jeżeli niekiedy nie wtajemniczają ich szczegółowo we wszystkie sposoby czerpania dochodów z mętnych źródeł, to zawsze mogą się one łatwo domyslić takiego stanu rzeczy, bo prosty obrachunek wydatków wykaze im, iż inna jakaś pomoc zasila domowe i rodzinne potrzeby. Nieświadomością więc wymawiać się nie mogą wobec tak łatwego sposobu zbadania prawdy, chyba, że nieświadomość ta obłudna będzie pozorem do spokojnego, bezmyślnego używania dochodów mężowskich. Wiedząc o sposobach nieprawidłowego zasilania kasy rodzinnej, żyjąc z takiego grosza i rozporządzając nim dla zaspokojenia potrzeb, często zbyt kosztownych wygod, które możność ich przechodzą, kobiety już temsamem są winne współnictwa w złem, winne moralnego poniżenia swych ukochanych. Lecz oileż to gorzej jeszcze się przedstawia, gdy one same przez nadmierne wymagania, przez rozrzutność, złe gospodarstwo, zmuszają niejako mężów do złego i popychają ich na przepaściste drogi?

Wtedy tylko kobieta jest nieskalana przez winę męża, gdy w całym układzie życia ściśle stosując się do jego zarobku, lub dochodów od majątku, nie ponadto nie wymagając, nie bierze udziału w niewyłącznych dochodach, które on traci poza domem. Jest ona wówczas nieszczęśliwą żoną; że przecież żona nie przysięga tylko na warunkach zapewnionego jej szczęścia, obowiązki więc jej względem męża trwają w dawnej mocy i należy

jej usilność swoją skierować na to, aby mąż na prawą drogę, na drogę uczciwości, powrócił. Jeśli jednak ta szczerza praca nie przyniesie pożądanego skutku, już wtedy staje się żona nieodpowiedzialną za czyny mężowskie, a szacunek ludzki, przyjaźń ludzka powinna zasłonić ją przeciw niesławie, jaką ściągnąć-by na nią mogło niegodne postępowanie męża.

Jak różnorodne bywają pobudki działające w duszy człowieka, który się puszcza na niegodne sposoby zdobywania sobie środków używania nad możność, tak też i rozmaity bywa tu udział kobiet.

Jedne istoty, próżne i bez serca, świadomie wiedzą mężów w przepaść upadku moralnego, używając ku temu całej swej mocy nad kochającym mężczyzną, byle tylko dogodzić egoistycznemu pragnieniu zbytku: byle tylko jaśnieć strojem, wytwornością, używać rozkoszy życia, bawić się, szaleć, nie myśląc o jutrze i tem, co ono przyniesie może. Lecz takich nędznych egoistek jest u nas jeszcze mało, dzięki uczciwym tradycjom przekazanym przez matki i babki nasze, są to smutne, jaskrawe wyjątki; ogół naszych kobiet ma jeszcze serce i przywiązanie do rodziny, a winy ich najczęściej pochodzą z braku rozumne zastanowienia się, a często, bardzo często, ze zbytecznego, małodusznego ukochania rodziny, dzieci zwłaszcza.

Wielka liczba kobiet zachowuje się biernie, przyjmując od męża zbyt wysokie zaopatrywanie potrzeb swoich i swej rodziny. Jest to w ich przekonaniu rzecz należąca im obowiązkiem ze strony męża, więc nie pytają wcale: z kąd on to czerpie? Mają nawet za tę jego zaradność słodkie uczucie wdzięczności, kochają go więcej jeszcze za pamięć o ich dobrobycie, mocniej wierzą w jego rozum i zdolności, miłośniej tuląc do jego piersi swoją lekkomyślną główkę.

Inne znów energicznie domagają się zadowolenia wszystkich wymarzonych potrzeb swoich i swej rodziny, nigdy nienasycone, chłoną wszystkie dochody mężowskie: a zawsze im mało, zawsze wyciągają rękę po więcej, spotykając męża wyrzutem, iż nie wypełnia należycie przyjętych na siebie obowiązków, i jarzmo tych jego powinności rodzinnych czynią mu ciężkiem, niewymownie ciężkiem, jakoby przez miłość macierzyńską. Takie w imię dobra dzieci dowodzą, że jest powinnością ojca, aby one—te dzieci! miały szczęśliwe, zbytkiem otoczone dzieciństwo, wesołą młodość wśród zabaw i wygod, że dzieciom nie godzi się nigdy żałować na staranne wychowanie, wykształcenie i wyposażenie we wszelkie talenta. Jest to zdanie bardzo wielu matek, a w tej pogoni za szczęściem i dobrem dzieci zapominają one o najwyższym skarbie rodziny: o nieskalanej czci nazwiska ojcowskiego, o potędze przykładu wszechpijącego uczciwość w serca dziecięce, o świętych obowiązkach względem całego społeczeństwa. Takie troskliwe matki rodziny, zapobiegliwie krzątające się nad zapewnieniem przyszłości dzieciom, znają wybornie stan interesów, znają dochody mężowskie: a jednak żądają więcej, niż wydawać im się godzi, nie badając: z kąd mąż wziąć może, byle wziął, i nie myśląc: jak to, co robią, jest złem. Sumienie uspione milczy, psuje się zwolna charakter, i nierzadko kobieta bywa wtedy winniejszą od mężczyzny, bo jest złego sprężyną, jest złego natchnieniem i powinna potem być karana przez opinię narówni mężem, jeżeli nawet nie mocniej. Choć-by się tłómaczyć chciała, że uczyniła to z miłości, przez tak zwany „zbytek uczucia“, wytłómaczyć to jej nie może, bo złe zawsze złem pozostaje, a jak tu, dowód to jedynie, że mało szlachetne, niskiego charakteru istoty nie podnoszą się nawet przez uczucie i poniżają je tylko. Można kochać złe i kochać dobrze: i złem u matek takich jest ukochanie ich dzieci.

Gdy żona jest do złego podniecią i postępowaniem swoim męża na pokuszenie wiedzie, jest ona najzupełniejszą jego przestępstwem współniczką, jakkolwiek czynnie nie przykłada ręki do tego. Winna jest ona wtedy jednakowo: czy przez chęć zbytków i wygod własnych, czy przez pragnienie nadmiernego dobrobytu rodziny, zbyt kosztownego dzieci wychowywania, zapewnienia im

losu w świecie, zawiele wymaga—czy przez niegospodarność, przez złe zastosowanie rozchodu do przychodu, przez bezmyślną nieradność zawiele wydaje i przez to popycha męża na te krzywe drogi, gdzie raz już zablakawszy się, traci moralną czystość charakteru, dziewictwo uczciwości i grzeźnię w błotnistym trzęsawisku dalej a dalej, przed złem, objętem kodexem karnym, chroniąc się jedynie przez instynkt zachowawczy. Lecz czasem i ten instynkt milknie: i oto człowiek, mogący być w innych warunkach uczciwym i pożytecznym, staje się naraz moralnie upadłym, z niezatartem znamieniem hańby na czole—człowiekiem występny! Prawda, że tylko słabsze charaktery tak ulegają złemu wpływowi, lecz właśnie tych słabych, miękkich ludzi jest u nas wielu, bardzo wielu. Ci, niemogąc oprzeć się egoistycznym żon wymaganiom, rzucają się na niebezpieczne tory, stąpając po nich początkowo z trwożliwością nowicyusza; lecz czas i okoliczności wkrótce wyrabiają ich na mistrzów w tej nowej szkole.

Kobiety uznane z tych powodów za współniczki win mężowskich ugiąć się muszą pokornie pod surowym wyrokiem, oskarżającym je o przestępstwo przeciw powszechnej uczciwości narodowej, o splamienie i zdeptanie tak wysoko dotąd trymanego sztandaru honoru polskiego.

(Dokończenie nastąpi).

ŚWISTEK Z ŻYCIA.

Nie mało odtąd ubiegło wody:

Pomnę, jak wczora... było to wiosną,
Ziemia weselne wyprawia gody,
Ptactwo świegoce gędbę radosną,
Ponad kwietnikiem ulata pszczoła —
Życia i gwaru pełno dokoła.

Pomnę, wśród wioski dwór nasz drewniany
Z wysokim dachem, niskimi ścianami,
Ogród go wieńczy po jednej stronie,
Wśród sliw i gruszy rosną jabłonie,
Swawolny wietrzyk listki potrąca,
Na grzędzie agrest ostro się jeży,
W zieleni błysku róży kwiat świeży,
Przy ziemi płonie miłość gorąca ¹⁾.

A od południa dziedziniec wielki,
Ogrodzon płotem z mocnymi wroty,
Pole, gdzie nigdy nie brak roboty,
Cieśla tu smolne obrabia belki,
Parobki kłocą przywożąc z boru,
Słychać zgrzyt piły i huk toporu,
Stróż drwa na opał rąbie z łoskotem;
Trudno się nieraz przedrzeć w tym ścisku...
Żóraw nad studnią sterczy pod płotem;
Dwa stare kundły śpią na wiórzyisku.

We dworze zato cisza głęboka.
Pobożna matka we wdowiej szacie,
Napół umarła po drogiej stracie,
Mnie tylko strzeże, jak w głowie oka.
Jam dla niej była wszystkiem na ziemi;
Rosłam oblana łzami jej cichemi.

Smutne mi były dziecięce lata:
Straciłam wcześniej siostrę i brata,
Gdy jedynaczką zwano mnie dumnie,
Łzami wzbierało serce sierotki—
Ah! bo to znaczy, że w zimnej trumnie,
Bóg zamknął mego życia czar słodki,

1) Takzwany kwiat pąsowy.

Że mi Edenu zwał jasne bramy,
Przez odmet życia kazał brnąć samej!
Lecz i ja, w mojej sierociej doli,
Miałam niejedną chwilę szczęśliwą...
Nieraz, bywało, matka pozwoli
Z dziewczęty miękkie snuć mi przedziwo,
Byłóż to śmiechu, byłóż zabawy,
Gdy wciąż rwie nitkę rączka bez wprawy:
Ogień wybucha słupem z komina,
Szybę izdebki trąca jaskrawo,
„Wyszła dziewczyna, wyszła jedyna!“
Prządki zawiodły piosenkę łzawą.
W duszę za zwrotką wpływa mi zwrotka,
Że nie śmiem nogą tknąć kołowrotka.
Smętnemi dźwięki tak poję ucho,
I słucham jeszcze, choć w izbie głucho.
Myśli, jak pszczołki, w główce się roją...
Marzę i pytam dziewczeczkę moją:
Czemu się dla niej zmienił świat wszystek?
Ja nie rozumiem, lecz drzę jak listek,
I dziś gdy pamięć te struny trąca,
Słucham ich jeszcze — łzawa i drżąca!

We dworku naszym czysto i składnie,
Ale ztąd wszelki zbytek wygnany;
W sercu mej matki żaloba na dnie,
Tylko modlitwą łagodzi rany.
Przy gospodarce wciąż się obraca,
Na jedne barki ciężka to praca.
Pilnie w swym domu porządku strzeże,
W bluszcze i kwiaty salę przybierze;
Lecz ją blask złota wcale nie wabi:
Na prostych sprzętach nie ma jedwabi,
Krzesła pokryte włosianą tkanką,
Okna bieluchną strojne firanką.
Na gładkiej, z desek białych podłodze,
O wosk się słabej nie ślizgnąć nodze,
Kukułka wiernie godziny kuka.
Wszystko odwieczną tchnie tu prostotą,
Całkiem nieznana moda ni sztuka.

A!... przepomniałam... jeden sprzęt oto,
Co go nie znali praojce starzy,
Coś o postępie prawnukom gwarzy.
Długi klawikord stoi przy ścianie,
Pomnę go, czarny jak krucze pióro,
On-to przymglone dni mych zaranie
Ciemniejszą jeszcze przyobłękł chmurą.
Grałam—bo wszystkim dziś grać wypada,
Grałam—bo graty córki sąsiada:
Straconych godzin, pożał się Boże,
Talentu z duszy pług nie wyorze!
Przy klawikordzie czas jednak trawie,
By drogiej matki rozjaśnić czoło;
Co mnie wyuczył mistrz mój w Warszawie,
Jedno po drugim powtarzam wkoło,
Głuszę bezmyślnie słowicze chóry,
Gram polonezy, gram uwertury,
Smętne nokturny, wesołe *scherza*,
Aż przyszła kolej —na koncert Hertza!
Tu już ma wątle nie starczą siły,
Tony się jakoś wszystkie zmęciły,
Tkanka się dziwnie wikła i gmatwa:
Grać bez talentu, rzecz to nie łatwa!

A poza domem, w kasztanów cieniu,
Żyd, stary krawiec, szyl coś w milczeniu,
Suchy, wywiędły, jak gołąb' siwy;
Siódmy mu krzyżyk barki przygniata,
Lecz kryje w duszy klejnot prawdziwy,
On, jak ptaszyna buja skrzydłata,
Z cichą piosenką w jasnym błękitcie.
Wśród czaru dźwięków prześnił on życie,

Z padołu ziemi, w natchnieniu szczerem,
Ulata wiecznie w dal niedościgłą.
Gdyby go nędza nie skula z igłą,
Byłby Halewym lub Meyerbeerem.

Gdy ja się biedzę przy trudnym Hertzu,
Memu Ickowi nie wytrwać dłużej,
Tajemna żyłka drgnęła mu w sercu,
Płonie mu czoło, krew się w nim burzy;
Porzuca igłę, żartko poskoczy,
Rozwarł drzwi zcicha, błysnął mi w oczy
Brodą bieluchną jak puch gołębi—
„Panienko—woła—głębiej... o! głębiej!”

I odbiegł starzec, nim rzekłam słowo.
Jam go odgadła i gram nanowo.
Odrzucam Hertza: Rossini lepiej
Może się duszy mojej uczepli.
Gram „Cyrulika”... nic nie pomoże!
Klawisze rąbią ostro jak noże,
Zpod rąk mi płyną tonów kaskady,
Ale ich podzwiek mętny i blady;
Cząsteczki duszy w nich nie pomieszczę,
Bo święty płomień piersi nie pali...
I znów otwarte widzę drzwi sali—
—„Panienko głębiej—oj, głębiej jeszcze!”

Pocciwy Icku! zbiegło lat tyle;
Proch twój oddawna zbutwiał w mogile,
Oddawna pożar schłonał te ściany,
Gdzie mi dziecięce ubiegły latka;
Zdała odemnie grób ukochany,
W którym po trudach spoczęła matka:
Czemuż mi wiecznie brzmiały twoje słowa:
„Panienko, głębiej—oh, jeszcze głębiej!”

Kiedy nademną cisza grobowa
Źródła ożywcze w duszy mej ziebi,
Kiedy ślimakiem słowa się wloką;
Wskutek nałogu piórem kreślone,
A myśl zbolała nie śmie głęboko,
Spojrzeń w otchłanie te niezmierzone,
Zkąd zdroje natchnień tryskają wieszczę
I poją serce Boską otuchą—
Głos tajemniczy szepcze mi w ucho:
—„Śięgnij—że głębiej, oh! głębiej jeszcze!”

Sew. D.

KTÓŚ

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Dziewczyna, zmordowana bieganiną całodzienną, spała, ale stara Tatiana słuchała podedrzwiama i—weszła zaraz do izby.

Wiemy, jak poufały stosunek wiązał te kobiety z sobą.

Tatiana wcale pani nie widziała w Horpynie, i obchodziła się z nią, jako ze słabszą, rozumiejąc, że boleść odejmowała siły: nie szczędziła więc jej czasami i łajania i ostrych wyrazów.

Wszedłszy, stara założyła ręce na piersiach, stanęła naprzeciwko Horpyny i głową kiwać poczęła, wpatrując się w nią. Była to milcząca wymówka jakaś.

— Co ty oczy wyrapiasz na mnie? — szorstko zawołała stara.

— A jak nie mam patrzeć i dziwować się i żyć, kiedyś ty rozum straciła! — poczęła Tatiana.

Wiele my na to lat czekali, aby Sylwan rozumu się dorobił. Pierwszy raz co przemówił, jak należy — patrzajcie! — ona słuchać nie chce. Powinnaś go w ręce i nogi całować za to!

Przecie-żeś, rozumniejszą będąc, sama tego żądała, aby on twoim synem był a nie jego? Teraz, kiedy on chce, jej to nie w smak. Ej babal strzyżono, golono — aby naprzekór.

Gdy słuchała u proga, aż mnie złość brała.

Przeżegnaj-że się, pokłoń przed obrazem Matki Boskiej, Panu Bogu podziękuj. — a syna nie błażmuć.

Horpyna słuchała, ponuro patrząc.

— Co ty wiesz! co ty rozumiesz? — odpowiedziała dumnie — tobie garnków pilnować, a nie rozumie mnie uczyć!

— Co robić, kiedy ty go nie masz! — zawołała nieustraszona stara. — Ja ci pochlebiać nie będę, choćbyś mnie złotem obsypała, bo mnie twoje dobro i jego szczęście droższe nad złoto. Nie durz się — nie psuj dziecka: wracajmy na naszą ziemię. Zapłaczesz, zobaczywszy ją, gdy cię woń stepu zaleci — no, to co? Lżej na sercu potem będzie; a to mała rzecz: kości położyć przy swoich, na poświęconej ziemi? A to mała rzecz: wody się tamtej napić powietrzem technąć?

Przeżegnała się Tatiana i poczęła łagodniej, widząc ją smutną.

— Miej rozum, Horpyno, kiedy on, on, co przecie głupi nie jest, a widzi, że tak będzie lepiej. Pocałuj go, zabierajmy się na wozy i — do domu! do domu!

Tatiana klasnęła w ręce, brzydka, pomarszczona, męzka jej twarz pojaśniała, rozpromieniała, coś poetycznego ją ozłociło.

— Do domu! Głupia! — przerwała Horpyna — jakby my-to dom miały? Chaty ojca dawno śladu niema, a i wieś się spaliła. Jaki dom? gdzie dom? — Ruszyła ramionami.

— Ukraina cała domem nam — odparła Tatiana — kąś się znajdzie, a tu co? Tu na ciebie patrzą ludzie, jak na wilka, ty na nich jak na inne plemię. Inna mowa, obyczaj, powietrze i woda. Tu umierać, nie żyć.

Zadumana Horpyna nie odpowiadała: spuściła głowę i myślami musiała być gdzieś daleko. Tatiana tymczasem, którą nogi od stania bolały, na ławie siadła, nie chcąc porzucić nieprzekonanej.

— Co sumujesz darmo! — ozwała się — gdybyś rozum miała, tylko synowi dziękować! Ten rozum ma!

Długo my czekali na niego; ale, gdy przemówił, jest czego posłuchać.

— Tak — wtrąciła, wpół do siebie mówiąc, gospodyni — on ma rozum, ale ty głupia, bo nie widzisz nic.

On chce zrobić to dla mnie, a sam się tem zgubi... Parobkiem jemu być!

Ramionami wzgardliwie ruszyła.

— Myślisz, że potrafi choćby chciał? myślisz, że jemu nasi ręce podadzą jak swemu, kiedy w nim obcego czuć? On nigdy naszym nie będzie. Skóry nie zwlec, krwi nie wytoczyć — siebie nie przerobić.

Odezwi się w nim wrogi duch, a nasi go poczuja jak — nieczystą duszę znachory. Byle mnie nie stało — zajaść go będą.

I ja mam wydać dziecko na takie męki, aby może miesiący kilka stepem oddychać.

Ty się przeżegnaj, Tatiano! bo nie wiesz, co pleciesz!

Na ławie siedząca, namarszczona, z uwagą słuchała, głową pokręcając. Przekonana, czy nie, była nastraszona nieco. Nie przyznała się do tego i milcząc pociągnęła napowrót do swych garnków, do których mruczeć coś poczęła, jakby ją one słyszeć i rozumieć mogły.

Stara matka, choć myśl synowską odepchnęła stanowczo, tak się czuła przez nią poruszona, iż o śnie zapomniła. Dopiero nierychło, zobaczywszy Pynię nierozbraną, na ławce niewygodnie zwinętą i uspioną głęboko, ulitowała się, naprzód nad nią, potem nad sobą. Zaprowadziła ją do łóżka i sama legła, ale, na łokciu się oparłszy, siedziała niemal dorana.

Nazajutrz Sylwan, który z uporem chciał przeprowadzić myśl swą do skutku — poobiedzie sze-

pnął odniechcenia, że za Rusinowy Dwór dobre dają pieniądze.

Horpyna spojrzała na niego i rzekła krótko:

— Nie durz się: mnie tu umierać Bóg przeznaczył!

— Nie — ale żyć na Ukrainie.

Rozśmiała się dziko.

— Zapóźno! zapóźno!

— Ja lepiej wiem, co nam i co tobie potrzeba — ciągnął dalej Sylwan — zdajcie to na mnie. Sprzedamy naprzód Rusinowy Dwór, potem ja pójdę szukać chutoru dla nas. Siądziemy na wozy i pociągniemy, zkądśmy wywędrowali.

— A ty? będziesz się oglądał za tem, coś za sobą zostawił — przerwała matka — i będą ci się śniły ci ludzie, co ci długo braćmi byli.

Na Ukrainie w tobie Ukrainca nikt nie pozna, a im ci się więcej będzie chciało nim okazać, tem ty mniej nim dla nich być potrafisz! Ojciec wiedział co robił. Mnie zgubił, ale ciebie szczęśliwym chciał mieć. Będzie, co Bóg naznaczył.

— Alboż to ja bez Boga poczynam! — rzekł Sylwan. — Myślałem długo, a teraz — wy, mnie posłuchacie. Ja wam do nóg upadnę — pojedziemy! pojedziemy!

Horpyna tylko głową potrząsała.

— Tyś uparty, ale i ja nie miękka — rzekła — nie chcę i słuchać o tem. Nie durz się nadaremnie.

Tatiana, ulubiona Pynia, naostatek i parobcy, bo oni także mieli tu wolne słowo, próżno się starali zmienić przekonanie starej: trwała przy swoim, a tłomaczyła się tem, że Sylwan-by był nie-szczęśliwym.

Napróżno się jej zaklinał, że to czynił dla siebie, że mu tu życie obmierzło: nie wierzyła.

Spodziewając się, że przełamie ten jej opór, Horpiński istotnie się zajął sprzedażą Rusinowego Dworu — ale nie mówił o tem. Jeden z sąsiadów dobrze zagospodarowany kawał ten ziemi i lasu nabywał chętnie, chciał zapłacić dosyć drogo. Umowa stanęła warunkowa, Sylwan, nie mówiąc matce nic, pożegnał ją na krótki czas i pojechał — na Ukrainę, do czego się nikomu nie przyznał. Ponieważ zwykł był tu i zjawiać się i zniknąć bez opowiedzenia, nikt go więc o cel podróży nie pytał.

Po wyjeździe Tatiana nie przestała męczyć swej pani i każdego wieczora się z nią o Ukrainę upierać.

Jesień nadchodziła późna. Coraz mniej było roboty w polu, wieczory dłuższe: więc obaj parobcy zasiadali w izbie czeladnej z Tatianą, a niekiedy przechodzili do gospodyni naprzeciwno.

Wszyscy oni wdychali za Ukrainą, starając się i w niej rozbudzić po niej tęsknotę. Domyślali się, że Sylwan musiał pojechać szukać chutoru, bo z pewnych oznak wnioskowali, iż Rusinowy dwór był tak, jak sprzedany.

Blisko dwóch miesięcy nie wracał Horpiński, aż jednej nocy się zjawił, chłopaka Ukrainca mając przy sobie. Parobcy, gdy spojrzeli na niego, oczy się im zaśmiały; a Hawryszce też do nich.

Matka rozplakała się i tym razem — popatrzyła długo, jakby wyczytać chciała z twarzy, gdzie bywał i co wioził z sobą. Sylwan tego wieczora nie rozmawiał, ale Pynia oznajmiła o Hawryszce!

Uparty Sylwan więc jeździł aż tam! Matka i rozgniewała się i, sama niewiedząc z czego, uradowała zarazem. Pytać go sama nie mogła; on pół dnia milczał.

— Na Ukrainie byłem — odezwał się pod wieczór, na ławce usiadłszy. — Za to, co tu Rusinowy Dwór na piaszczystej ziemi kosztował, my tam dwa razy tyle ziemi czarnej i tłustej mieć będziemy, takiej, że tam cztery woły skiby nie odwrócą. Prawda, że lasu niema, jak tu, ale sad około chaty, zarośla w wąwozie, chrustu dosyć.

Horpyna stała, na syna patrząc.

— Aleś nie kupił? — zawołała gorączkowo.

— Jak pozwolicie — w kilka dni wszystko się skończy — rzekł Horpiński — a myślę, że ja ublażam was, matuniu. Mnie i wam tam lepiej będzie.

— Nie — zimno odparła matka — ja wiem, że mnie tu naznaczono umierać.

— Nikt nie wie, gdzie go koniec czeka—szepnął Sylwan.

— A ja wiem—rzekła matka.

Gdy się to działo w świetlicy, tymczasem gadaliwie a roztropne chłopię, Hawryszko, na Ukrainę w usługi wzięty, mówił w izbie czeladnej co tylko wiedział, opowiadał o chutorze, który Sylwan oglądał, o dworku jego, o pasiece, o strumyku, o młynku, o polach. Tatiana się zaszłuchiwała, łzy jej z oczu płynęły—głową potrasała.

— Gdyby ona rozum miała!—szepnęła sama do siebie—ale u niej wszystko naprzekór. Gdy szczęście przychodzi, odwraca się od niego, a za biedą gonić gotowa.

Pynia teraz więcej siedziała w izbie czeladnej. Hawryszko dla niej był wspomnieniem opuszczonej ziemi, po której tęsknota się obudziła.

Nie nalegał Sylwan, chcąc dzieła dokonanie zostawić czasowi; nie wątpił, iż do wiosny zwolna Horpyna da się przekonać i uprosić. Pocichu wszystko przysposabiano nieznacznie do wielkiej podróży.

Stara, wiedziała to, czy nie, lecz nie okazywała po sobie, żeby rozumiała co ją czeka. Jej skrzynie stały nieknięte, ona nie sposobila się do wyjazdu.

Horpiński, raz tylko wciągu zimy tej udał się do Warszawy, aby sprząty swe, książki, rzeczy, wszystko co miał, tam sprzedać i zerwać zupełnie z życiem miejskiem.

Obudziło to, naturalnie, ciekawość, bo tajemnicą być nie mogło. Emil Paczusi starał się z tego jakiś wniosek wyciągnąć, czegoś się domyślić, biegał, nastęrczał się do kupna różnych przedmiotów, lecz języka nie dostał.

Utrzymywano powszechnie, iż Horpiński nabyć gdzieś musiał dobra, do których się miał przebiec. Zapytywany, nie zaprzeczał, lecz objaśnień nie dawał żadnych. Zbywał ciekawych dwuznacznikami.

Parę razy zetknąwszy się z Paczuskim, bardzo grzecznie, lecz z pewnym przekąsem dał mu uczuć, iż się zapewne radować musi z tego, że on z placu ustępuje.

— Cóż pan chcesz — mówił z góry, patrząc na Emila — czulem się niegodnym takiego towarzysztwa; byłem tu intruzem, dawaliście mi to czuć. Wynoszę się — *Vicisti Galilae!*

Zmieszany Paczusi tłómaczył się, bełkocząc: uśmiech obojętny Sylwana, był mu wielce nieprzyjemnym.

Oprócz tego wciągu kilkodziennego pobytu, ile razy Emil mu się nastęrczył, nielitościwie dopytywał go Sylwan, to o pannę Maniusię, to o panią Bończykę, wiedząc, że obie odpaliły biednego chłopca.

Starał się teraz, jak mówiono, o córkę bogatego bankiera, a matka była małżeństwu przeciwną; lecz z nią pieśczonego synek wiedział, że zrobi co zapragnie — i wyprosi zezwolenie na wszystko.

Z zasobów, jakie miał w Warszawie, szczególniej z dosyć obfitej biblioteki, Sylwan nie chciał sobie zostawić, postanowiwszy zdziżyć i z rozpaczliwą ironią jakąś przewidując zawczasu, co się z nim stanie, gdy do tego — tak zwanego stanu natury powróci.

Miał na sobie zrobić jedno z najboleśniejszych doświadczeń, jakie wymarzyć można.

To rozstanie się ze światem, w którym żył długie lata — pomimo rezygnacji, z jaką chciał je spełniać — kosztowało wiele. Niekiedy nawet przychodziły mu wątpliwości, czy ono było możliwem. Według teorii jego należało pracą fizyczną nieustanną, nużącą — wyczerpać się, nie dopuścić myśli wcisnąć się, rozpoznać, zawiadnąć znowu; stać się musiał machiną. Postanowił ciągle się obracać wśród tego ludu, do którego wyobrażeń i obyczajów chciał powrócić — zerwać tak stosunki z innemi kołami, aby o ich bycie zapomnieć. Przypomniawszy sobie naostatek słowa jakiegoś współczesnego filozofa, niedawno czytane — że ludzkość ze stanu dzikości powoli i z trudnością dawała się wyciągnąć, ale krótkiego czasu potrzeba było, aby ją napowrót zezwierzędzić i strącić z wyżyny wiekami zdobywanej.

Tak być musiało i z człowiekiem pojedynczym. Dosyć jest osamotnić człowieka, odebrać mu z ogół-

nem życiem ludzkości związek, aby go zabić na umyśle i zniesławić.

Sylwan spodziewał się, że, przetrwawszy pierwsze przesilenie bolesne, prędko później upadnie na duchu, zapomni przeszłości i potrafi się czysto zwierzęcem, lub lepiej, wegetacyjnem życiem zaspokoić.

Sofizmatami się karmił, aby rzecz tę uczynić sobie łatwą — i samego siebie oszukać.

Z temi myślami wrócił już jako wygnaniec zupełny, jako człowiek nowy, do matki.

Tu zastał, czego się nie spodziewał. Horpyna, która pod wpływem wychowanki złagodniała była znacznie i oderwała się od dawnych wspomnień bolesnych, teraz, ze zmianą położenia, którą syn zapowiedział, zamiast się uczyć uspokojoną i szczęśliwą — była podrażniona do najwyższego stopnia.

Powróciły dawne gniewy i płacze. Tatiana nieznacznie nawracaniem, sprzeczkami, wymówkami, doprowadziła ją do tego stanu. Woli syna, choć go kochała, nie chciała się poddać, może dlatego, że długo była nawykła, iż jej ulegano, może, iż w tem dla Sylwana szczęścia nie przewidywała.

Czasami fantazyja jej dawała widzieć to dziecko jedyne — parobkiem, dzieckiem ludu, jej własnym, lecz pewna duma wskazywała, że przecież mógł on wyżej się spiąć, czegoś więcej dążyć.

— To, co dla mnie szczęściem było — mówiła — jemu nie starczy... on już innego pokosztował.

Powracając, Sylwan zastał ją doniepoznania wzburzoną.

Wpadła na niego z wymówkami, że bez jej wiedzy chciał z nią czynić samowolnie, co sam wydumał.

— Rusinowy Dwór... mój; ja go nie chcę sprzedawać — zawołała gwałtownie. Na Ukrainę myślisz mnie wieść? aby mnie tam palcami wytykali?... Powiadasz, że chutor kupisz w okolicy, która nas nie zna?...

Albo się to ludzie nie domyślą, co ja za jedna? Ktoś ty taki... albo z wiatrem nie przyłeci wieść o nas? Ludzie się dowiedzą — tu mnie nikt nie zna — tu ja śmiało w oczy każdemu patrzę, a tam oni wyśmiewać się będą.

Horpiński nie sprzeczał się, milczał, rachował na czas; Tatiana zaś i nawet Pynia, które bardzo pragnęły przesiedlenia i podróży, nastając na starą — tylko ją do najwyższego zniecierpliwienia doprowadzały.

Nawet miłość jej dla wychowanki znacznie na tem ucierpiała. Życie w dworku stawało się nieznośnem, Sylwan w pole musiał uciekać — czekał. Tymczasem dni uchodzące powoli, żadnej nie sprowadzały zmiany.

Wprawdzie Horpiński wszystkie umowy porobił warunkowemi, bo przewidywał opór matki i zwłokę — lecz nie spodziewał się tak żelaznej woli, tak stanowczego sprzeciwienia się.

Nie potrafił ani słowem o ten drażliwy przedmiot, gdy do matki przychodził; ale ona go sama natychmiast zagadywała — ciągle w to bijąc, że się nie myśli wynosić i nie chce.

Cały jej dwór w rozpacz to wprawiało. Tatiana chodziła wściekła, i usta jej nie zamykały, parobcy siedzieli ponurzy i milczący; Pynia, to płakała, to stojąc w kącie, oczyma ognistemi pełnemi wymówek, ściagała starą.

Z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, przeciągał się ten stan niepewności. Horpyna wiedziała dobrze o przygotowaniach do podróży, domyślała się, iż rachowano na to, że ją uproszą i nawrócą — ale tem mocniej okazywała, iż złać się nie da...

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Przyczyny i skutki kobiecej niewoli — napisała Romania Kamińska. — Warszawa, 1884 r.

Sam tytuł książki już czytelnika zadziwia i — powiedzmy szczerze: razi, bo każe przypuszczać

namietną, gwałtowną krytykę praw rządzących społeczeństwem, wśród którego kobieta równouprawnioną nie jest — jest zatem pokrzywdzoną, jest poddaną mężczyźnie, jest w niewoli przez mężczyźnę trzymaną. Przed paru laty podobny krzyk skargi na niewolę kobiecą, usiłował wyrobić sobie głos we Francji. Sławna petroleza Ludwika Michel na czele kilku towarzyszek podnosiła go — nadaremnie; że przecież prócz tego odłamu kobiet francuzkich, nikt już więcej, nawet zwolenniczki najdalej idącego równouprawnienia kobiety w kierunku politycznym, ekonomicznym i naukowym, stanu jej wśród narodów nowożytnych niewolą nie nazywają, nasuwała się więc mimowoli umysłowi myśl powinowactwa idei z Francuzką ową. Nie jest tak przecież i nie jest tak jak u kogokolwiek z pisarzy i pisarek, z myślicieli zajmujących się sprawą kobiecego postępu. Książka jest w założeniu swoim niesłychanie oryginalną, bo nietylko zostawiając na boku, ale nawet odrzucając precz wszelkie spodziewane tu dążenia kobiety do równości praw społecznych — żąda wyzwolenia jej w rodzinie: zpod niewoli męża.

Nie było tak zawsze: „pierwotnie“ była kobieta wolną, jak wolnem jest i swobodnem wszystko „co w naturze do jej płci należy“, czyli jak wolną jest ta „jej płeć“ w świecie zwierzęcym. Ale w postępie czasu, w rozwoju dziejów, gdy człowiek wyszedł z raju, to jest z siedzib swych pierwotnych, gdy rozpoczęła się migracya ludów, kobieta jako słabsza fizycznie została przez mężczyznę ujarzmioną. W raju kobieta pod kierunkiem natchnień instynktu, „jak każde zwierzę do jej płci należące“ pomyślała o stałem usadowieniu się rodziny, czyli była twórczynią pierwszej zagrody domowej; kobieta również igrająca z dziećmi na łące, odkryła ziarno zbożowe i zamieniła je w papkę dla dziecka swojego, i tak dalej wszystko rozwijało się bardzo pięknie, siłą instynktu wywoływana intelligencya kobiety zapewniała jej równość w ustroju rodziny rajskiej, ale z chwilą wyjścia z tego stanu szczęśliwego istnienia, gdy człowiek rozrodzony zaczyna inaczej urządzać się na ziemi, kobieta wpada w niewolę. Chryścjanizm wyzwala ją, ale tylko religijnie; niewola kobiety, dogodna dla mężczyzny, trwa i nawet wzmacnia się coraz, sprowadzając wszędzie upadek narodów, co autorka, nie dowodzi, lecz opowiada, rozszerzając się nad tem, jak sama zauważyła: „może aż nadto“. Obecnie niewola kobiety tkwi w małżeństwie, bo co to jest małżeństwo w świecie cywilizowanym? — pyta autorka, porównując ten związek do związków podobnych w naturze: „Małżeństwo w świecie cywilizowanym, to amorficzna bryła, nosząca w sobie zaród rozdziału w każdej chwili, bo nie skoncentrowana siłą wzajemnego przyciągania i równomiernego na siebie oddziaływania“. Jest to zatem „równouprawniona, ubeatyfikowana, uświęcona niewola płci zwanej żeńską — dla wyłącznej, samolubnej korzyści płci zwanej męską“.

„Wynika więc samo z siebie, że kobieta postawiona w takich warunkach, stać się może wszystkim, tylko nie człowiekiem, któremu natura dała przywilej woli, siły, mocy, samodzielności. Zaledwie się dopełni akt połączenia, zwany aktem małżeńskim, mężczyzna, nie mogąc się oprzeć pokusie samorządu, która sama wpada mu w ręce, zamiast zaprowadzić natychmiastową równowagę i do wzajemnych ustępstw się usposobić: zaczyna, przeciwnie, rozwijać coraz silniej despotyczne swe instynkty i naginać kobietę do swych nawyknień, do swojego sposobu życia i widzenia, nie czyniąc dla niej żadnego ze swojej strony ustępstwa“. Jeżeli „poddanka“ nie ugnie się łatwo, „używa on przymusu, groźb, kar nawet, moźnowładny w wyborze środków“. Więc się rozpoczyna walka: kobieta żona, nie ma innego wyboru i innych środków, jeno stać się — co dzieje się też „z małym wyjątkiem“ — albo „furią piekielną“, albo „lalką oszustką“, albo „tak zwanym bezcelowym aniołem dobroci i poświęcenia“. Ze zas furej, bezcelowe aniołki i lalki oszustki, są spaceniem natury kobiecej, więc autorka żąda, aby „zmienić niewolniczy stan kobiety w małżeństwie“ usunąć z niego niewolę.

Ale w jaki sposób? Autorka nie zwraca się

do zmian prawnych w kodexie, tak, jak nie zdaje się pragnąć tych wszystkich praw, o które kobiety dobijają się na Zachodzie Europy, żądając szerszego prawa do pracy, prawa do wyższej nauki; prawa do zaznaczenia się głosu kobiecego w prawodawstwie i w zarządzie swego kraju. Powiada poprostu, że wszystko to jest anomalią, skoro kobieta musi być przez małżeństwo niewolnicą mężczyzny, że zatem wyższa nauka kobiety, praca w rozszerzonym zakresie, swoboda samodzielnego rządu: to wszystko dla samotnej, lecz w małżeństwie kobieta jest skrepowana. Autorka widać zapomina, że małżeństwo zawiera kobieta własnowolnie, że następuje ono przez jej wybór a przynajmniej przez wybór, na który przystała, który przyjęła. Wogóle instytucja małżeństwa jest dla autorki niewolą, już rząd, że mężczyzna zawsze postępuje despotycznie, że ma w sobie „instynkt despotyczny”. Żąda też, aby reforma stanowiska kobiety oparła się: „Na określeniu ścisłym natury kobiecej i wysłedzeniu jej wyłącznych własności”. Na zasadzie tych wysłedzonych wyłączeń natury kobiecej, powinno nastąpić: „Zwrócenie kobiecie głównego przywileju człowieka: osobistej wolności, z prawem zachowania go od kolebki do śmierci”. Przyczem należy się kobiecie: „Ułatwienie środków, dających możność rozwinięcia jej instynktów wszechstronnie, w celu uczynienia z niej pożytecznego członka rodziny i społeczeństwa”.

Jeszcze raz trzeba autorce powtórzyć, że małżeństwo, — to przyjęcie obowiązków, które z natury swojej i ze względu na najwyższe interesa ludzkości, a wśród niej, tak kobiety jak mężczyzny, muszą do pewnego stopnia swobodę małżonki krepować, tak, jak krepują również swobodę męża. Dla tych-to właśnie „wyłącznych własności” natury kobiecej, myśliciel angielski, Mill, w swoich postulatach praw kobiety, ograniczył wolność mężatki w tem, co bez sporu przynajmniej samotnej. To, czem przez „własność kobiecej natury” musi i powinna być matka u kolebki dziecka, żona w pełnieniu swych obowiązków względem męża, gospodyni wśród domu, który jest miejscem zamieszkania rodziny — to wszystko nie pozwala jej na taką „osobistą wolność”, która naizupełniej godziwą będzie u kobiety samotnej. Ale autorka nie chce przystać na to. Samotność — jak słusznie utrzymuje, jest dla kobiety stanem smutnym, nienaturalnym, i dla żadnych praw pracy i nauki, dla żadnych praw głosowania do parlamentu, kobieta, niebędąca wyjątkową, nie poświęci się na nie chętnie, własnowolnie. Jakże przecież osiągnąć małżeństwo z jego wielkimi korzyściami: z podporą, jaką mężczyzna daje kobiecie; ze szczęściem serca, które przynoszą dzieci, nie ustępując nic ze swojej strony, nie na ofiarę nie przynosząc, niezem nie wypłacając się za to — nie biorąc na siebie obowiązków, jakie prawom mężatki towarzyszą? Nieograniczona przez nie osobista wolność kobiety musiałaby działać rozkładowo, ośrodkowo względem koniecznych podstaw rodzinnego życia i, aby stanowisko mężatki według tak pojętego ideału praw kobiety utrzymać się mogło: musiałaby instytucja małżeństwa, instytucja rodziny — zostać zupełnie z gruntu przetworzoną.

Wątpić należy, aby się to stać mogło, aby się tak stało kiedykolwiek. Cywilizacja ludzkości, jest zbyt starą, aby do tradycji rajskiej rodziny powrócić, a dziś trudno sobie przedstawić obraz takiej rodziny, któraby przez obowiązki swoje nie ujmowała w karby pewne osobistej wolności, któregośkolwiek z małżonków.

Autorka, pisząc bardzo piękne abstrakcje o rozkoszach szczęśliwego związku we dwoje, nigdy przecież nie wspomina o miłości, gdy jest mowa o stanowisku męża względem żony — i żony względem męża: a przecież miłość — to między tym dwojgiem ludzi siła potężna, która wiele trudności usuwa, wiele mocno zadzierzgniętych węzłów rozwiązuje — która jest mostem zbudowanym między dwiema istotami ludzkimi. Ich serca, ich dusze dążą po nim ku sobie i w harmonijną jedność się zlewają. Jeżeli jest niewola w małżeństwie, to wtedy właśnie, gdy jest to związek zawarty bez miłości, bez życzliwego, przyjaznego serc zespolenia; ale to niewola taka, jak owych

rzymskich niewolników, którzy się na rynku sami w niewole sprzedawali; — jest to handel sobą — tylko już wtedy niewolnik powinien pamiętać, że to on sam własnowolnie wolności się pozabawił, przekładając nad nią to, co mu za nią zapłacono. Ten więc nie ma tu głosu, bo był to, jak powtarzamy — handel tylko.

Strzeże się również autorka wyrazów: obowiązki żony... powinność żony, prawa rodziny, prawa męża. — Wykreślmy przecież z małżeństwa uczucie miłości, wykreślmy następnie z moralnego kodexu małżonki pojęcie obowiązku — to cóż zostanie?... co tam będzie?

Niewątpliwie to, co autorka przed sąd opinii zapożywa — będzie to rzeczywiście niewola i wszystko to, co mężczyzna jako mąż i ojciec, jako gospodarz domu będzie wymagał od żony z ujmą jej nieograniczonej wolności osobistej, koniecznie przedstawiać jej się musi, jako samowola, jako ucisk wynikający z „despotycznych instynktów” mężczyzny. Jest jeszcze w rozumowaniach autorki jedna nielogiczność, odnosząca się do tych instynktów męzkich: bo jeżeli żąda ona dla kobiety stanowiska, ugruntowanego na zasadzie „wysłedzenia jej wyłącznych własności” i wtedy „rozwinięcia jej instynktów wszechstronnie”, to niepodobna odmówić tego i mężczyźnie, więc z kolei, co robić z jego, już wysłedzonymi przez nią „instynktami despotycznymi”, jeżeli teraz on nie ma popaść w niewolę? Autorka przy użyciu przez nią metodzie porównawczej człowieka z tem, co obok niego istnieje, z tem, co w naturze jest „wolnem i swobodnem”, zapomniała tylko jednej rzeczy: zapomniała o duchu człowieka, który się podnosi ponad bezrozumną i instynktami tylko się rządzącą naturę; zapomniała o tem, że rodzina ludzka, to nie rodzina zwierzęca.

Że przy takim jednostronnem postawieniu rzeczy nie może być konsekwentnej ścisłości w rozumowaniach piszącej, że czytelnik chce zawołać co chwila: — To sofizm! — rzecz konieczna. Styl jest gładki, łatwy, nierzadko nawet piękny, ale językowi zarzucić trzeba nieraz zwroty obce, bardzo dla naszego ucha niemiłe: bo po polsku się nie pisze: „śledzić za przebiegiem”; „własność wydarta okolicznościami” (str. 2-ga, wiersz 9-ty, 16-ty) — „swoboda osobista darowana okolicznościami” (str. 4-a, wiersz 4-ty) i t. d. Sądzić-by można, że autorka kształciła się poza krajem, lub w kraju była źle języka uczoną.

Marya Ilnicka.

NOWINY PARYZKIE.

Paryż w Czerwcu i Lipcu 1884 r.

Trójka czy Trójna? — Pozytywizm i jego różni przedstawiciele we Francji: I. Renan i jego książka: *Nowe studia z Historii Kościoła* — Nowy tytuł starej książki. — Przedmowa. — Renan jako autor książki do nabożeństwa. — II. Alf. Daudet, jego nowa powieść *Safo*. — Obrazy z życia i z rysztoku paryzkiego. — Talent i jego użycie. — III. Jan Richepin i jego *Rymów* tom I. tytuł: *Bluznierstwa* — *Sic ilur ad astra*. — Co to jest za człowiek? i jaka jest książka? — Dokąd idziemy?

(Dokończenie).

To życie na spółkę trwa tak lat kilka. Konsulat puszczonej w trąbę — ciągnąc dyabła za ogon. żyje się z dnia na dzień. Powieść jest właśnie dokładnym i ściśle wiernym opisem tego zaprzepaszonego żywota... Jest to studium, z którego rezygnuję zdać sprawę na tych tu kartkach. Nareszcie przychodzi znużenie, przesyta, nudy i koniec końców. Jan, choć ubogi, ma gdzieś na prowincyi rodzinę, która-by chciała wyciągnąć go z błota i ożenić! Safo, jak grzybek wyrosła w paryzkim rysztoku — nie rozumie tych związków rodzinnych, ale radaby nie wypuścić z rąk swoich, choć już prawie obojętnego jej, Goussina. Rozpoczyna się więc domowe piekło.

Ale koniec?... koniec, że się rozstają. Opuszczona Safo udaje się do Daudet'a, który w jej imieniu, naśladując w tem *labusia* Prévosta, jak Manon Lescot, pisze list, któryby kamienie poru-

żył — ale głupi Goussin i na to zostaje głuchym. A więc Safo zakłada nową spółkę. I czego nie mogła dokazać miłość, — to sprawia zazdrość. Jan wraca, ale Safo — na szczęście, zniknęła ze sceny.

Goussin prawdopodobnie ożeni się na prowincyi z tą mu narzucaną Ireną; ale moja wiara mi powiada: „Nie mogę ja wierzyć temu, aby serce, tak znużone, zużyte przez takie burze, mogło kiedykolwiek zakosztować spokoju i szczęścia, które mu da życie, gdzieś tam w zaścianku, na prowincyi”.

Taką jest powieść Daudet'a w głównych zarysach; reszta jest zapełniona szczegółami tego cygańskiego życia na spółkę, które tu jest prawie regułą studencką, bo inne życie jest tylko wyjątkiem. Zapewne, że w rzeczywistości, jest to mniej dramatyczne, mniej poetyczne — ale jednakowo brudne. Cała różnica w przypowieści i to jest właśnie ten miodek, którym przyprawna trucizna z łatwością oszukuje niedoświadczonego usta, i to jest — za co odpowiedzialnym staje się autor wobec publiczności, i przez co literatura francuzka w ogólności tak szkodliwa, tak rozkładowy wpływ wywiera, nie tylko na swój naród, ale na ogół, który jej płody skwapliwie chwytą. Powiecie mi mi może: dobrze mu tak, niechaj nie chwytą — zapewne! ale kiedy w tej straszliwej fabryce, gdzie prasa nie starczy prawie napływom produkcji, jest taki pletor twórczości, że jak prawdziwa powódź, cały świat zalewa!...

Alfons Daudet w tej nowej powieści, jakby czyniąc zadosyć zepsuciu powszechnego smaku, starał się zbliżyć bardziej jeszcze do starszej braci z obozu naturalistów, i usuwając na stronę dawną swoją poprawność — nie mówię stylu — ale myśli i obrazowania — puścił się na te niebezpieczne drogi, po których się toczą najzuchwalsze zastępy nowożytniej szkoły francuzkiej. Sam już tytuł, dla ucha paryzkiego, zdradza to umiarkowanie wyrażenia, tem bardziej, że nie go tu nie czyniło niezbędnym. Jest to więc rzecz dobrej woli — i jakby nacisk położony, jakby pieczęć wyciśnięta na tej umowie zawartej z p. Zolą i z całą falangą naturalistów. Szkoda — bo nam się przypomina zawsze ów Daudet *du Petit Chose*, gdzie obrazy, też z naturybrane, były malowane tak lekką, tak delikatną ręką, że — jak powiada Renan — zdaje się, że to opowiadanie złotem i lmem najcieniszym jest tkane. Tamto zostanie jako największe prawo do wziętości, jako zasługa wobec oświaty powszechnej; Safo nie zginie w niepamięci — ale, jak trochę mułu, zostanie na stopniach pomnika, który się wzniesie pracą tego pisarza.

Ale, ażeby wiedzieć, jak trudno jest czasem pisarzowi nie zboczyć ze swej drogi, dosyć jest zauważyć, jak tu przyjęto nową powieść Daudet'a. Publiczność rozechwytuje książkę... przyjaciele, śpiewają: Hosanna!... krytycy pod niebiosą wynoszą autora. Jeden z najwziętszych krytyków tak się odzywa: „Nasz młody, wielki literat wydał książkę najznakomitszą naszego czasu; trzysta wyborowych kartek, napisanych cudownym stylem, najczystszy językiem, klejnot spostrzeżeń obserwacji paryzkiej, klejnot wzruszenia i czułości... Arcydzieło! — jednym słowem!”...

Czy tak jest wistocie? Oni powiadają: tak; ja powiadam: nie. A jeśli wszystkie zalety pisarza jasnieją tu całym swym blaskiem — jednej braknie wszakże: godności pisarskiej, któraby pozwoliła synom autora — nie za lat dwadzieścia, — ale dziś, zaraz, czytać tę książkę, i uczyć się od ojca: jaką to drogą należy postępować w życiu.

Ale to nie naturalizm prowadzi do tak smutnych wypadków. Naturalizm jest to formułka fachowa — publiczność, która przyklaskuje, nie rozumie jej wcale. Jest to wpływ, są to owoce tej szkoły, której zwątpienie wydarło: wiarę, uczucie, ideał — a na ich miejscu zostawiło formę i ośchłość serca, któremu wszystko jest w porę, byleby w jasne błyszczące i świetne zamknięto je ramy; byleby przysłonięto wyszukany stylem, i najwstrętniejszy obraz przyjmą z oklaskiem. Z każdym dniem widzimy tego nowe przykłady. Ale smutno nam, kiedy przychodzi wyznać, że i tacy pisarze jak Daudet, nie są wolni od zarazy.

Tak zstępując stopniami, wychodzimy na tę wielką drogę obecnej mizeryi, do której można

zastosować słusznie owe słowa Dantego, wypisane na jednej z bram piekielnych: *Per me se va fra la perduta gente*. Tak, droga ta wprost prowadzi do rzeczy i ludzi zatracenia! Z mistrzem dyalektyki, Renanem, wyszliśmy ze zwątpienia; z Daudetem byliśmy w pełnej obojętności; a teraz przychodzimy do *zaporcia się* i do bluźnierstwa. Dalej już nie ma nic. Przepraszam, jest: *nicoś!* step, pustynia, śmierć moralna i niewola ducha!

Jan Richepin—potrzeba zapisać to nazwisko—ma dziś do 35 lub 36 lat. Wyobraźcie sobie pięknego bardzo cygana, bez przenośni, przestrojonego na typ paryżki—na ten typ, graniczący z aktorem i studentem, seduktorem panien z ogródkowych teatrów i śpiewających kawiarni. Syn wojskowego lekarza, urodził się w Afryce; wyrósł—bo nie można powiedzieć, że się wychował—na przedmieściu Paryża: krótkie i powierzchowne nauki miał kończyć, ale nie skończył, w szkole normalnej, i aby nie zadać fałszu cygańskiej krwi, która płynie w jego żyłach, prowadzi dalej na bruk paryżkim koczujące życie swych przodków.

Choć wzrostu miernego, zbudowany jest silnie: czarny—ma się rozumieć—jak węgiel, ale pięknych i regularnych rysów; fanfaron i hulaka—ubóstwa śpiczaste kapelusze à la Rinaldini, aksamitne kurtki i lakierowane z długimi cholewami buty; główne koczowisko trzyma w Quartier Latin i na wizytowych kartach pisze: *homme des lettres et artiste dramatique*—dawniej pisywał: „Turańczyk“ (Touranien).

Zaczął swój zawód literacki, sławną tu jakiś czas pomiędzy studenteryą, piosenką pod tytułem: *pieśń hołyszów*, a może lepiej *niepomiów*: (Chanson des Gueux), która mu otworzyła drzwi do sądu policyjnego poprawczej.

Niedawno, w jednym z mych listów, mówiąc o dramacie przedstawianym w teatrze *de la Porte Saint Martin*, wspominałem właśnie o tym p. Richepin, który we własnej swej sztuce odegrywał rolę Nany Sahiba, czy jakiegoś podobnego Indyana, z wielkim zadowoleniem publiczność owego teatru, która się głównie rekrutuje pomiędzy mieszkanicami ościennego przedmieścia.

Otóż w tej chwili dzieli on najwyższą władzę literacką w Paryżu—z Renanem i Daudetem—a nawet kto wie, czy nie stoi wyżej od nich w opinii publicznej. Cygan ten, w tej chwili, jest to człowiek—jak oni powiadają: *arrivé*, to jest, że doszedł do mety—a rzecz dziwna: doszedł na drodze literackiej. Prawda, niepierwszy to przykład. Ma on licznych przodków, którymi może się poszczycić, którym jeżeli brakło wielu rzeczy, to nie brakło rozumu, zdolności wielkich i większej jeszcze śmiałości, *audaces fortuna juvat*. O nim prawdziwie można powiedzieć, że zaszedł na Parnas, i to najbardziej trudną, najbardziej stromą ścieżką. Tom wierszy! to rzecz straszna dla piszącego i dla wydawcy! szczegółnie tutaj, pod boki takiego olbrzymia, jak Hugo. Otóż, żeby w śmiałości przesadzić najśmielszych, nasz poeta kładzie na tytule: *Bluźnierstwo!* (Blasphèmes). I nie myślcie, aby tytuł kłamał: tu nie tylko każdy wiersz, ale każde słowo jest bluźnierstwem—jest grzechem, jakby to się powiedziało w języku religijnym: *grzechem przeciw Duchowi*.

Poeta—oni to nazywają poezją!—zrozumiał dobrze publiczność do której należało przemawiać: zwysoka i hardo. Zaczął więc plwać na wszystko, co dobre, zacne, co święte. Rodzina, ojczyzna, sprawiedliwość, Bóg—wszystko rzucił pod nogi; i jak prawdziwie dzięki wyprawili piekielny taniec na ruinach, jak mu się zdawało starego świata, nie troszcząc się nawet o to, jaka chorągiew, jaki sztandar utkwii, w tej ziemi przesiąkniętej krwią, tak świeżo przelanej za największą i najświętszą sprawę, za sprawę ojczyzny?

I ta głupia publiczność gapi-muchów—rzuciła się na tę książkę, jakby na utwór prawdziwego wieszczal! Dlaczego?—bo jedni szukali skandalu, a drudzy potwierdzenia własnej głupoty. Tymczasem frant, mniej głupi, niżeli publiczność, otrzymał cel żądany: rozgłos i... trochę pieniędzy.

„Donc, Aryas,—powiada (bo on sam jest Turańczykiem—wiecie kto to jest z systematu zacnego

p. Franciszka Duchńskiego) a więc on Turańczyk tak się odzywa do braci Aryasów na wstępie swej książki:

„Donc, Aryas, vous croyez
A la patrie, aux foyers,
Au sol que Vous fossoyez!“

I w taki sposób przesuwając przed nami z kolei wszystko—jak mówiłem—co dobre, pocziwe i święte. Głupie to i puste w rzeczy samej, ale właśnie dlatego, że jak dzwon próżne, i jak dzwon głośnie; bo ten człowiek *jako wierszopis*, jest obdarzony prawdziwym talentem; wiersze jego nie ustępują, jako forma, najlepszym wierszom Wiktora Hugo—ale, jak w ostatnich wierszach sędziwego patryarchy francuskich poetów, próżno tu szukać związku i myśli.

Ale zkadże ta wziętość i to powodzenie książki?—pytajmy o to ludzi tutejszych, oni nam odpowiadają—że to jest znak czasów! Pomysleć i przypuścić, że dziś, że jutro, ukaże się tu na świat, u największego z wydawców, zbiór poezji, w których Bóg i nauka moralności chrześcijańskiej będą sławione—gdzie wiara głęboka i szczytna, na której spoczywa od wieków, cały gmach nauk społecznych, znajdzie swojego piewę, co w niezrównanych strofach, całą nam jej wspaniałość wypowie—gdzie najmisterniejszy twórca narodowego wiersza, z całym blaskiem natchnienia, z całą harmonią języka, opowie nam owe stare, proste, a tak serdeczne legendy, których rytm pocziwy ongi kołysał do snu naszą młodą duszę... Otóż, ani-bys zasłyszał, że taka książka wyszła na świat, i wydawca ze smutkiem by widział cały ich szereg tłoczący się na półkach, jako wymowne świadectwo obojętności tej dziś gawiedzi, która niegdyś, w czasach Lamartiniowskiej chwały, była publicznością—i wyrzywałaby sobie z rąk tę książkę—chwałą i złotem zarzucając swego poetę.

Ale wszystko to przeszło! Podobni do tych przeszyconych smakoszy, których spalone podniebienia i języki w dyabelskiej chyba kuchni znajdują jeszcze jakiś ożywczy kordyał, i jak starożytni Rzymianie asafetydą zaprawiać każąc swe sosy—tak ludzie tutejsi, ludzie nsszego czasu, zużyci, przetrawieni umysłowo budzą się z tego osłupienia tylko wobec najdziwniejszych paradoxów, wypowiedzianych dzikiem i gwałtownym słowem.

Tak!... idziemy do przepaści—i w ostateczności tylko lubować się możemy—bo jak w domu tlejącym ukrytym pożarze, jakiś swąd duszny i tajemniczy, wywołuje, wypycha ludzi z mieszkania—tak w tym moralnym przełomie, wszystko nas do ostateczności popycha. I jak w apokaliptycznych czasach, przychodzą i każą fałszywi prorocy.

Zwątpienie, które niegdyś boleśnie szarpało serce—dziś jest prawdziwą rozkoszą, płynącą ze złotego pióra znakomitego retora. Obojętność, która dawniej grobowym przejmowała nas dreszczem—dziś bawina nas, jak stara bajeczka. Uśmiechamy się na widok walących się gmachów Uczucia i Wiary, które-by nam ongi gorzki wywołały żal. W śmieszność obracamy rzeczy uświęcone zwyczajem; naigrawamy się z niewinnej czystości... Jest to, jakby nowy Ikonoklastyzm Bizantyński, podniesiony do wysokości zasady moralnej!

A! kiedy znużony umysł, zbolale serce, bojaźliwa dłoń—nie mogą i nie śmią nawet szukać wokół, obok siebie, tej pociechy, jaką daje jedynie wiara:—wówczas korzimy się przed wszechmocną wolą, która sama tylko może zwrócić ludzi na lepszą drogę, i... podnieść ducha naszego ku Niebu.

ROMANTYZM WE FRANCYI

przez

JERZEGO BRANDESA

w streszczeniu podał

Edward Lubowski.

X. Merimée.

(Dalszy ciąg—Ob. Nr 26).

Ze śmiercią spoufalił się i z tego względu możnaby go nazwać wielkim tragikiem, tylko, że nie wierzy temu, co arystotelesowi uczniowie nazywają: „tragicznym pogodzeniem“. Zdaje się, że chciałby, jak Schiller, powiedzieć: „Śmierć nie jest bynajmniej tak estetyczną“. Lubi on nade wszystko wrodzoną tegoż charakteru i decyzją w danym razie, zaczyna zaś, naturalnie, od tego, że nadaje czynowi poezją, ale śmierć, i to gwałtowna, jest mu ulubioną, jest on bowiem tak jak Sièyes za „śmiercią bez frazesu“.

Przypuścić-by można, że pewna obojętność a może i okrucieństwo leżało w skłonnościach Mérimée'go, lecz jeszcze jest pewniejszem, że wpływało to także u niego z polemicznego usposobienia przeciw panującemu sentymentalizmowi, z niechęci do miękkości i płaczliwości. Ze jednak brutalność ta była i skłonnością—dowodem okoliczność, iż się z wiekiem nie zmniejszała bynajmniej u niego. „Teatr Klary Gazul“, który wydał mając lat 22, dowodzi, że już przy całej młodości, miał upodobanie w dzikiem i gwałtownem.

Małe dramaciki tej książki posiadają ostro odznaczone charaktery, które zamiast panować nad sobą, dają się ślepo porywać swej namiętności. Na pozór wszakże „Klara Gazul“ jest poważną, w rzeczywistości przez kostium hiszpański, przesiąkniętą francuskie Cesarstwo i lekkomyślność. „Klara Gazul“, jest wesołą kobietą, — tylko że co to za wesołość! Wesołość lubująca się w rzucaniu noży!

Najdowcipniejszą krytykę na te sztuki i ich manierę, napisał Alfred de Musset — *Lettres de Dupuis et Cottonet*. Manierze tej młodocianej Mérimée'go, odpowiadają i przedmioty wybrane w późniejszym wieku. Ostatnia jego nowella: „Lokis“, jest historią młodego litewskiego hrabiego, który skutkiem dziedziczości, uczuwa w sobie czasem instynkt dzikiego zwierza, podczas nocy ślubnej wpada w szal i przegryza gardło swej żonie. Charakter jego nakreślony z wielkim artyzmem, a rozwój szalu uwidocznił w kilku rysach. Oczywiście, lubował się autor w nakreśleniu postaci hrabiego w całej dzikości, w przeciwieństwie do łagodnego niemieckiego profesora, który, bawiąc jako gość w hrabiowskim domu, codziennie narzeczonyj swojej opisuje straszliwy stan hrabiego. Ostateczne wrażenie tej historii opisów jest wstrętne straszliwe, ale mistrzostwo opowiadania, takt nawet przy opisie brutalności, wytworność przy opisie strasznych tych i wstrętnych szczegółów—nasuwają na myśl białe rękawiczki kata. Opowieść ta jest nawet dowodem skłonności autora do tego rodzaju kierunku.

Że ta maniera była oryginalną i indywidualną, to pewna; atoli i to jest oczywiste, że jest ona pokrewną tendencji całej szkoły, którą Southey „szatańską“ nazwał. Wpływ Byrona niezaprzeczony. W roku 1830 miano już do syta we Francyi, tak jak i w Anglii, poezji czasów reakcyjnych. Berło przeszło z rąk Lamartine'a w ręce W. Hugo; w szkole jego znajdowali się młodzi poeci, którzy prawie równocześnie z Mérimée w artystycznie obrobionych nowellach traktowali przedmioty straszliwe. „Wyzwanie filistra“ romantyczne leży niezawodnie w zamiarach autorów.

Merimée, jako prawdziwy romantyk, uważał za główne zadanie swoje odsłaniać stan rozmaitych stanów i ich cywilizacyą; a to, co się nazywa „kolorytem miejscowym“, wychodzi jasno pod jego

piórem. Nie lubi on jednak nowoczesnej polityry, lecz zato zagłębia się w okrucieństwach średnio-wiecznych chłopskich wojen, opisuje noc S. Bartłomieja, siega do Hiszpanii w XIV i XVII w., a do Rosyi w XVI w.

Namiętność dla pierwotnej siły i nagiej prawdy, popchnęła go do badań historycznych. Wybierał sobie najzuchwalszych bohaterów: Sulę, Katylinę, Don Pedra Kastylijskiego, pierwszego fałszywego Dymitra i t. p. Najlepszym z tych dzieł jest „la Jacquerie”. W rozmowie „Karola IX” — utworze pisany na wzór W. Scotta, ale stylistycznie daleko odeń wyższym, ma każdy charakter wrażliwość odpowiednią stuleciu, a całość stanowi mozaikę wybitnych charakterów i sytuacji. Gdy dotyka nowszych czasów, wtedy przedstawia wrażliwości tych klas, które są w wojnie ze społecznym porządkiem, albo przedstawia skandal jakby na złość zrobiony pod nosem społeczeństwa. Muza jego czuje się wszędzie tam w żywiole, gdzie się zetknie z nadzwyczajnym wypadkiem, albo z gwałtowną namiętnością, przebijającą się zwycięsko przez stosunki towarzyskie. Dla tego przekładał Puszkiną. Dwa powody wstrzymują go od przedstawiania katastrof życia ludzkiego tragicznie: pierwszym jest obawa, ażeby ostrość jego przez element pogodzenia nie straciła swego żądla, a drugim: niewiara jego w związek ogólny, zamykający w sobie wypadek pojedynczy. Jeżeli pomimo to działa czasami tragicznie, to wypływa to wbrew jego woli, z głębszego zanurzenia się w studium charakterów i z przekonania że często charaktery z przeznaczeniem stoją razem w związku! Znakomitym tu przykładem jest: „La double méprise”. Mérimée wiedział doskonale, jak potężnym i tragicznym czynnikiem bywa złudzenie.

Bardziej jeszcze zbliża się ku tragiczności tam, gdzie przeznaczenie wnika w charakter i miesza się z nim tak, jak krew z trucizną. Tak np. w nowelli *Carmen*, w *Colombie*, zbliża się do greckiej tragedii daleko więcej, aniżeli ci poeci, którzy sławią „Agamemnona nigdy niewymierającą rodzinę”. Słusznie też porównywano Colombę z Elektrą, a jest bardziej ludzką i przyjemniejszą od Elektry. W „Colombie” tej najślawniejszej z jego nowelli, „koloryt miejscowy” odniósł najświetniejszy tryumf. Na dowód tego niech posłuży fakt, że kiedy Mérimée czekał w sądzie, broniąc oskarżonego swego przyjaciela Libri, zbliżył się do niego jakiś Korsykanin i ofiarował mu w razie przegranej, podjęcia się dlań wendetty.

Leżało to w charakterze pychy Mérimée’go, co uczynił w r. 1840 w przedmowie napisanej do „La Guzla”. Szydzi tam, że był w r. 1827 romantykiem, że marzył o kolorycie miejscowym i wierzył, iż poza nim niema zbawienia. Opowiada dalej, w jaki sposób celem zrobienia podróży, sfabrykował „koloryt miejscowy” w zbiorze ballad iliryskich (Guzli) i jak doktor jeden niemiecki Gerhard przełożył Guzłę na niemieckie w wierszu miarowym oryginalnych poezji, których się w prozie jego domyślił.

* * *

Formę Mérimée’go istoty stanowi surowe albo szydercze trzymanie się w obiektywizmie, albo, rzeklibyśmy, i na boku. Odsłania się ono w oficjalnej jego pisarskiej działalności, w ścisłych technicznych opisach pomników południowej Francji. Nigdy słowa o sobie, nigdy wybuchu osobistego uczucia. Jakże sobie zażartował z tych, którzy myśleli, że w inspektorze pomników przydybą dyletanta lub nowellistę! To jego trzymanie się na boku, objawia się też w chęci do mistyfikowania; czego dowód z Klarą Gazul i z Guzłą. Dał nawet w tym celu portret Klary Gazul na miedzi rytym.

Oddawna miał satyryczną żylę. W komedii: „Les mécontents” wyszydził najnielitościwiej rewolucjonistów w szlafrokach i pantoflach, a w „Les deux Héritages ou don Quichotte” szydzi satyrycznie ze społecznej i kościelnej obłudy, z politycznego humbugu. W tych, pod względem formy niedoskonałych wcale, utworach scenicznych, nie ukazuje się jego ironia tak wybornie, jak w nowellach. Metoda jego charakterystyczna polega

na tem, że głęboką ironią, zdradzającą się w drobnych szczegółach, podnosi wrażenie opowiadania, i to tak, że albo wzruszające ustępy opromienia uśmiechem, albo sceny bolesne oprawia w chłodne ramy otoczenia. Odsyłamy czytelnika do mistrzowskiego w tej mierze przykładu „Le Vase étrusque” — do rozmowy końcowej po pejedynku St. Clairsa.

Nie trzeba się przeto dziwić, że ten styl, ten ton, który obiektywność opowieści tak dziwnie i niespodzianie zapewnia, liczone były autorowi na karb chłodnego serca. Tak jednak bynajmniej sądzić nie można, gdyż właśnie ironia jego dykcji pokrywa sympatją autora lub jego oburzenie. Dowodem tu znowu nowella jego: „Tamango”. Niepodobna czytać bez głębokiego wzruszenia tej nowelli, w której właśnie, te napozór chłodne i obojętne reflexy autorskie, przez kontrast wrażenia się wzmagają. Poznać zaraz, że poza, nieśmiałą niby, a tak energiczną, formą tych utworów, kryje się wzruszenie, i że głębokie to wzruszenie wykuwa formę tak dzielnie i wybitnie, jak tylko żądać można. W żadnej jednak nowelli nie przepięła się tak harmonijnie w jedno, ironia z uczuciem głębokiem, jak w „Arsène Guillot”. Śmierci gryzетки, Arsény, nie opisał lepiej Musset w *Frédéric et Bernerette*. Ironia jest tu od tego, iżby litość i uczucie nie przekroczyły artystycznej miary. — Ostateczna wszakże forma, która zrazu była stylistykiem wyrażaniem się duszy bardziej wrażliwej i dumnej, przerodziła się z końcem życia Mérimée’go w rafinowany, przesadny prawie sposób używania kontrastów jako środka artystycznego.

Prosper Mérimée doskonale rysował; talent ten zdaje się być spokrewniony z jego stylistyczną zdolnością. Gautier wraz z nim uzupełniają się w tym kierunku, wśród plejady z r. 1839. Kontur, surowa linia stanowią siłę Mérimée’go, jaskrawe zaś koloryt siłę Gautiera, o którymby sądzić można, że nie pisze piórem, ale pędzlem. Gautier lubi przedewszystkiem draperie i oświetlenie; bujny jego styl jest weneckim; same jedwabie i aksamity przetykane koronką i perlami. Mérimée’go, prosty ale nadzwyczaj elegancki styl jest pozbawiony kolorytu i ponury, ale co powie, to jakby wyrzeźbione na kamieniu. Styl jego ma jeden nadzwyczaj cenny przymiot: przezroczystość; postacie jego i charaktery są w całej swej uderzającej dzikości pochwytnie i żywe. O wyż rzeczonej obiektywności Mérimée’go, świadczy jeszcze, klasycznie wytworna surowość jego stylu; forma jego przypomina wypolerowaną stal bez kwiatków i ornamentów, ale każda postać jak przelana z metalu, a przytem żywa i prawdziwa. Żaden ze współczesnych francuzkich pisarzy, nie doszedł pod względem języka do tego arystokratycznego konserwatyzmu, co Mérimée; nawet Karol Nodier nie stanowi wyjątku. Posługiwał się zaś tym językiem, bez używania zwykłych wyrazów w sposób niezwykły. Brzydził się nadewszystko abstrakcyjnymi wyrazami, pokrywającami jakoby myśl wielką zasłoną, co zaś go szczególnie odznacza, to *pewność* wyrażenia, to zdolność malowania najwykleszemi wyrazami. Hugo pisał patetycznie, Gautier i inni, co za nim poszli, zdobyli sobie zmysłowy i obrazowy styl obaj starali się oddziaływać przez architekturę słowa. Dwóm tym mistrzom udało się, naśladowcom nie, stali się sztucznymi. Styl Mérimée’go nie dba o niepożyteczny przepych, o niepotrzebną podniosłość; lecz, przez to nie pozbawiony jest wdzięku, przeciw główny jego wdzięk stanowi niezwykła siła. Stara dewiza: *Ne quid nimis* zdaje się być istotnem godłem takiego sposobu opowiadania.

Celem Mérimée’go w tem było: małe swe arcydzieła nie dać wyszczerbić zębowi czasu. Pomimo to dla najbliższej już przyszłości dzieła jego, nie były wzorem, styl zaś Gautiera wywołał szkołę. Nie należę do zwolenników nowej szkoły francuzkiej — powiada Brandes — która stara się nadać zdaniu melodyję, koloryt i zapach; ten sposób pisania, który z Gautiera przeszedł na Flauberta, a z tego na Zolę i Daudeta, ma także swą niebezpieczną stronę, do czego wreszcie sam Zola się przyznaje, mówiąc, że obrazowość Rousseau’a się przestarała, gdy Wolter, cichy i jasny, zaw-

sze pozostanie młodym, że więc ten sposób deskrypcyjny pisania, zestarzeje się z niedługim upływem lat; atoli myli się on, jeżeli sądzi, że następcom sprzykrzą się książki te *dla stylu*. Faktem jest jednakże, że Mérimée’go dzieła są pomnikami; jego surowy, *nieobrazowy* styl przeżyje styl deskrypcyjny, tak jak przeżywa pomnik z brązu — kwitnące drzewo.

Mussetowi wydawał się Mérimée naturalistą; pochodziło to ztąd, że nie czyniono wówczas w romantycznym obozie żadnej różnicy między naturalizmem a romantyzmem. Bądźco bądź, Mérimée, ze swem zamiłowaniem brutalnych przedmiotów, ze swoim umyślnym chłodem stał się pierwowzorem tego kierunku smaku, który w późniejszej generacji piszących występuje. Dziś uchodzi Mérimée za klasyka. Jasna jego i przezroczysta forma, wstręt do lirycznych ekstrawagancji, do metafizycznej retoryki, dają mu przeważne miejsce poza obozem romantyków, widzieliśmy wszakże poprzednio, że poniekąd wszystkich francuzkich romantyków można uważać za klasyków, że więc i wyraźniejsza klasyczna cecha Mérimée’go nie stawia go poza romantykami.

Gdy się jednak rozważy, że on, taksamo jak Hugo i de Vigny, uległ wpływowi Walter-Scotta, że był pokrewny Bajronowskiemu satanizmowi, że w „Kronice Karola IX” nie wahał się nawet użyć procedury Hoffmanna, że był bezpośrednim uczniem Beyle’a, że prawdziwie na sposób romantyczny, wybierał przedmioty obce i nienowoczesne, — to trzeba będzie uznać za prawdziwe dzieło swego stulecia. Postać jego wynurza się dostatecznie z genialnego pokolenia 1830 r.; tylko że on nie występuje do romantycznego turnieju w jaskrawej zbroi, ale jako czarny rycerz.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Pani Jarnicka, Szwajcarka rodem, wykonywa z wielkim gustem i starannością rozmaite przedmioty rzeźbione w drzewie, jak ozdobne żardinierki, stoliczki, szkatułki, co zbywa oardzo tanio, bo niezamozna i sklepu niemająca, wystawiać ich na widok oczu ludzkich nie może. Żona Polaka, zżyła się już z krajem naszym, i matka ośmiorga dzieci, wyłączenie ze swego zarobku utrzymuje rodzinę. Są to względy ważne, których przecież prawie nie potrzeba, aby roboty p. Jarnickiej należyty pokup miały, bo gust ich i taniość wielka zalecają je już dostatecznie. Jeżeli wystawa pracy kobiet przyjdzie w tym roku do skutku, szersza publiczność będzie się mogła z nimi zapoznać. Jakież mnóstwo, mnóstwo podobnych rzeczy przywozi się z zagranicy — ze Styryi, z Tyrolu, bynajmniej nie piękniejszych, nie tańszych ani troszeczką: a że jest to właśnie pora wyjazdów w tamtą stronę, pukamy do serc ludzkich, aby grosz, któryby miał zostać wydany w obczyźnie, dostał się p. Jarnickiej. W zysku pozyskanym będzie umniejszony kłopot wzięcia tych rzeczy, a może i coś uczucia spełnionego obowiązku. P. Jarnicka mieszka przy ulicy Długiej Nr 8 i 10, w domu dawniej Elerta.

— Zakład przemysłowo-rękodzielniczy hr. C. Zyberg-Platerówny przy ulicy Pięknej N. 14, ogłosił prospekt na następny rok szkolny, rozpoczynający się z dniem 1 Września. Cel zakładu jest czytelniczkom pisma naszego wiadomy: pragnie on uczyć kobiety pracy, zapewniającej uczciwe utrzymanie i zarazem dawać młodym dziewczętom wychowanie moralne i praktyczne, zastosowane do potrzeb czasu, do obowiązków kobiety w rodzinie i społeczeństwie naszym. Prospekt pisze też, że zakład zwraca szczególną uwagę na gruntowność i dokładność nauki rzemieślniczej i jej wykonanie, a każda gałąź nauki fachowej oparta jest na zasadzie rysunku linearnego, przy-czem daje się uczniom możność wyrobienia sobie samodzielnych pojęć o sposobach wykonywania podjętej pracy. Szlachetna, filantropijna,

obywatelska myśl, która przewodniczyła wzniesieniu zakładu, sama już te jego dobre chęci dostatecznie poręcza i w opinii publicznej podnosi.

Zakład dzieli się na dwa oddziały. Oddział pierwszy jest przygotowawczy, czyli „naukowo zasadniczy“, drugi: fachowy, czyli oddział rzemiosł. Do pierwszego przyjmuje się uczennice od lat 12 i kształci je w zakresie drugoklassowym i w robotach. Oddział drugi przyjmuje uczennice starsze; z oddziału pierwszego przechodzi się na drugi od początku roku szkolnego i po złożeniu egzaminu z klasy drugiej. Oddział pierwszy dzieli się na klasę wstępną, pierwszą i drugą; wykłada się w nich język polski, rosyjski, arytmetyka, geografia i kaligrafia. Uczennice tego oddziału są przytem obowiązane do nauki robót ręcznych, każdej kobiecie w rodzinie niezbędnie potrzebnych, a mianowicie: szycia białego, znaczenie krzyżkami i haftem, cerowania zwyczajnego i wytwornego bielizny stołowej, tiulów i pończoch; dalej robót drutowych, naprawiania bielizny i odzieży, na koniec rysunku technicznego dla wprawy oka i ręki w dokładność przy wykonywaniu robót. Oddział drugi daje naukę: szycia i kroju bielizny, szycia i kroju sukien, koronczarstwa, haftu białego, złotem, i artystycznego kolorami; szewstwo kobiece i dziecinne wtedy tylko wykładane będzie, jeżeli zapisze się na nie przynajmniej sześć kandydatek.

Uczennice obu oddziałów powinny się stawiać na miejscu o godzinie w pół do dziewiątej rano. Praca i nauka trwa do trzeciej po południu, z półgodzinną przerwą w południe na odpoczynek i śniadanie, które przychodzić powinny przynosić ze sobą. Uczennice oddziału drugiego po godzinnej przerwie na obiad, trwającej od godziny 3 do 4-tej, powracają do nauki, która przeciąga się do godziny 6-ej. Uczennice chcące uczyć się wyłącznie kroju przychodzić będą w dni i godziny oznaczone.

Zakład mieści uczennice, tak przychodzić, jak pensyonarki. Oddział pierwszy, przygotowawczy-naukowy, obejmuje kurs trzyletni, po roku w każdej klasie. Kurs nauki szycia i kroju bielizny, jak szycia i kroju sukien, trwa w szkole zakładu miesiąc dziesięć i krótszym być nie może; kurs wyłączny kroju sukien i okryć, krócej niż trzy miesiące, a kroju bielizny krócej niż sześć tygodni trwać nie może. Z takiego wyłącznego kursu kroju sukien lub bielizny, zakład nie wydaje żadnych świadectw. Opłata za kurs wyłączny kroju sukien i okryć jest 24 rs.; krój bielizny 9 rs. Opłata szkolna wszelkiej nauki rzemiosł wynosi miesięcznie 3 rs.; tylko nauka krawiecczyni i haftu kolorami 4 rs. Z ogólnej liczby uczennic jedna czwarta przyjmowana jest bezpłatnie, skoro złoży świadectwo ubóstwa przez opiekuna cyrkulowego w Warszawie, lub przez właściwą władzę na prowincyi. Pensyonarki zakładu opłacają za 10 miesięcy, tak nauki, jak całkowitego utrzymania w zakładzie, ze stołem i praniem 250 rs., bez prania 230 rs. Przecież prospekt na rok następny ogłasza, że zostanie urządzony drugi oddział pensyonarek, mieszczący się dla braku miejsca nie w samym domu zakładu, lecz w jego pobliżu, to jest tak zwana „stancja“ zakładu pod jego kontrolą i dozorem. Pensyonarki mieszczące się na tej stancyi opłacać będą za naukę i całkowite utrzymanie 150 rs., bez prania 130 rs.

Uczennice kończące naukę oddziału fachowego, otrzymują po odpowiednim egzaminie przed komitetem zakładu świadectwo uzdolnienia.

Zapis uczennic rozpocznie się dnia 15 Sierpnia i trwać będzie do dnia 1 Września; godziny zapisu są: od godziny 9 do 12 rano, i od godziny 2 do 5 popołudniu, z wyjątkiem świąt i Niedziel.

— Na berlińskiej wystawie artystyczno-prze-

mysłowej pracy kobiet udzielono dwie pierwsze nagrody po 200 marek: jedną szkole kunsztownego haftu, utrzymywanej w Karlsruhe przez *Stowarzyszenie kobiet badających*, drugą *Rzemieślniczemu stowarzyszeniu kobiet* w Dreźnie. Nagród drugich po 100 marek było pięć; przyznano jedną saskiej rządowej szkole wzorowej koronek klockowych (Spitzen-Kloppel-Muster-Schule) w Schnneebergu i czterem osobom prywatnym. Trzecią nagrodę 500 marek przyznano czterem osobom prywatnym z Berlina i *Szkole pracy kobiecej* z Reutlingen; wydano przytem dwadzieścia cztery listy pochwały.

— Prassa francuzka upomina się o krzyż legii honorowej dla zasłużonej, bo więcej niż trzydziści lat pracy dla dobra bliźnich poświęcającej się, kobiety, Emilii Nicole. Jest to już kobieta sędziwa, sześćdziesięcioletnia; mając lat dwadzieścia kilka poświęciła się pilnowaniu obłąkanych kobiet i nauce idiotów, i w tym podwójnym charakterze pracuje do dziś dnia w „La Salpetrière“. Pensya jej roczna, jako dozorczyń, jest 600 fran., jako nauczycielki 400 fran. i pisma francuzkie czynią tu uwagę, że pensya taką pobiera miesięcznie średnio utalentowana śpiewaczka operetkowa, a gdy się pomyśli o niesłychanie trudnej, przykrej, nużącej pracy tego iscie kapłańskiego zawodu, gdy się pomyśli, że „Salpetrière“ jest zakładem rządowym, niepodobna powstrzymać zadziwienia nad tak nędznem wynagrodzeniem nigdy nieopłaconych trudów i poświęceń. Zasadą, którą Emilia Nicole rządzi się przy nauce idiotów, jest to, że skoro tylko istota ludzka cośkolwiek pojęcia okazuje, taki jego ślad tylko, że zdolna jest choć pewne przedmioty od siebie rozróżniać, już żyje w niej jakaś odrobinka inteligencji: można ją zatem rozbudzić, można do pewnego stopnia rozwijać. To też jej klasę stanowią najnędzniejsze już, najniżej umysłem stojące biedactwa, które ona zapomocą wynalezionej przez siebie metody, według usposobień każdego indywiduum pod pewnemi względami odmienianej, kształci, rozbudza, najpierw pojęcie barw, potem wyobrażenie kształtów, przedmiotów w zamary umysł wprowadzając. Kiedy idyota zdola sobie kilku wyrazów w pamięć wbić, które się z przedstawieniem zmysłowem jakiejś rzeczy łączą, nauczycielka usiłuje z kolei pojęcie owej rzeczy mu dać i tak zwolna istotę zupełnie bezmyślną, przetwarzając na taką przynajmniej, która ruchów swoich, funkcji swoich zmysłowych, świadoma się staje. Umysł tej poświęconej kobiety ma być niepospolity, a serce anielskie, przez które umie się ono wzniesić do cudownej cierpliwości, która też cudotwórczą się staje. I żyje tak już lat przeszło trzydzieści, cała oddana posłudze istot najnędzniejszych wśród ludzkości, a nikt nie widział, aby przez jakiekolwiek zajęcie postronne, przez jakiegokolwiek ukończenie, przez jakąś miłość na rachunek własnego szczęścia uczutą, oderwała się od ofiarniczego swego zawodu. Ze tej kobiecie należy się od społeczeństwa znak za męztwo, za poświęcenie się szlachetne—to wątpliwości nie ulega.

Postanowieniem było również udzielenie krzyża legii honorowej M-me Daumesnil, wieloletniej ochmistrzyni szkoły córek legionistów, ale śmierć stanęła pomiędzy nią i tym zaszczytem. Tylko wieniec związany czerwoną wstążką na jakiej krzyż ten się nosi, został złożonym na trumnie.

— Kobiety angielskie nie ustępują z pola walki co do swoich praw wyborczych i rozpoczyna się między nimi agitacja, aby te, które posiadałyby prawo głosu w razie zmiany pod tym względem prawodawstwa, odmawiały płacenia podatków, na zasadzie, że nie posiadając praw obywateli angielskich, nie powinny ponosić ciężarów z tym stanem związanych. Jest to naśladowanie Fran-

cuzek, Hubertina Auclert, towarzysza i współwyznawczyni zasad Ludwika Michel, Pauli Lacroix, niż nawoływała przed dwoma laty kobiety francuzkie, aby póty nie składały rządowi podatków, póki jako obywatelki kraju nie otrzymują prawa głosu w wyborach do parlamentu. W Londynie postąpiła tak osoba innego przecież niż tamte Francuzki znaczenia, Miss Henryka Müller, zasiadająca w londyńskiej komisji edukacyjnej, więc osobistość poważniejsza i wyższego poważania też używająca. Miss Müller należy do partii silnie wigowskiej i wrażliwie przyznano jej głosowania Gladstone nie-by nie stracił.

— Angielki występują z jedną jeszcze opozycją—z opozycją przeciwko nieproszonej, niezadanej, a nawet odrzucanej opiece, jaką angielskie sfery prawodawcze usiłują otoczyć kobietę. Prawo zabraniające nocnej pracy kobiet w fabrykach, „The factory act“ został przyjęty przez pracujące kobiety angielskie bardzo źle i wywołał skargi bardzo żałosne, że tamują kobiecie możność zarobku i chleb jej odbierają. Tygodnik kobiecy „The Queen“, organ bynajmniej nie krajowy, a przeciwnie poświęcony klasom wyższym, kobiecie, rzeczy można, arystokratycznej, odezwał się, zowiąc to krzywdą wyrządzoną robotnicy, i dał za przykład, że w ekspedycji tegoż czasopisma kilkadziesiąt kobiet było zajętych przez dwie noce w tygodniu sortowaniem arkuszy i składaniem ich do piątej rano. Spały one potem w dzień, a zapłata godzin pracy nocnej owiele większa, została im w zysku, który upadł, gdy „Factory act“ pracy nocnej zakazał. Wzięto w to miejsce mężczyzn, i kobiety utraciły zarobek, co powtórzyło się przy wszystkich prawie pismach pierwszorzędnych.

Obecnie John Lubbock przedstawił parlamentowi wniosek, aby prawo to otrzymało poprawkę—dodatek, rozciągający nadzór podobny nad pracą kobiet w sklepach. Uczony ten mąż proponuje najpierw, aby dziewczęta niemające jeszcze lat osmnastu nie były zajmowane więcej nad dwanaście godzin dziennie i nigdy nie dłużej, niż do godziny ósmej wieczorem; aby tylko raz w tygodniu wolno było zająć tak młodą sklepową do godziny dziesiątej. Dla sklepowych wszelkiego wieku żąda: co tydzień całe pół dnia swobody, a co dzień półtorej godziny wolnej na jedzenie obiadu przed godziną trzecią popołudniu; po każdych czterech i pół godzinach zajęcia, pół godziny odpoczynku. Niewolno przytem zajmować żadnej młodej osoby w Niedzielę, a wszystko to pod karą 5 funtów (50 rs.). Wyjątek stanowią mają tylko sklepy z napojami i wszelkie takie, jak kawiarnie, piwiarnie, szynki. Czy przecież tam właśnie robota posługujących dziewcząt nie jest najbardziej utrudniająca?—pytają angielskie dzienniki kobiece, dodając, że jeżeli poprawka Lubbocka przejdzie, dziewczęta niemające lat osmnastu stanowiąco utracą miejsca sklepowych, a również znaczna liczba starszych zostanie zastąpioną przez subjektów mężczyzn, lecz cóż poczną kobiety? Społeczeństwo ma niewątpliwie obowiązek troskliwej opieki nad zdrowiem członków swoich, i Lubbock działa w najlepszej myśli; ale biedne kobiety wołają, że nędza, że głód jest rzeczą najstraszniejszą ze strasznych. Ah! praca wśród nowoczesnych narodów, jest to straszliwa przepaść, w którą zajrzawszy, dostaje się zawrotu głowy.

Do dzisiejszego numeru *Ilustrow* dołącza się dokończenie powieści pod tytułem: **Z krwawych dni**; oraz powieści pod tytułem: **Sąd Boży**, arkuusz 6-ty.

TREŚĆ. Udział żon w winach mężów, przez Wandę Podgórką. — Świstek z życia, (poezya), przez Sew. D. — Któs, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Przegląd piśmienniczy, przez Maryą Ilnicką. — Nowiny paryżkie, (dokończenie). — Romantyzm we Francyi, (dalszy ciąg), przez Edwarda Lubowskiego. — *Kronika działalności kobiecej.*

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 4 Юля 1884 года.